Nr. 36 Rok 3 Kraków, dnia 6 września 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



DWAJ MALCY

MAŁY WISIEK Z KAMIONNEJ, KTÓRY NIEDAWNO SKOŃCZYŁ ROCZEK, UJEŻDŻA TRZYMIESIĘCZNEGO ŹREBAKA. MIŁE TO ZDJĘCIE WARTO POKAZAĆ CZYTELNIKOM

Fot. Kamiński

NA ZBOCZACH ELBRUSU



FLAGA NIEMIECKA NA ELBRUSIE

Na Elbrusie, potężnym masywie górskim, pokrytym lodowcem wywiesili żołnierze niemieccy sztandar wojenny. Zdjęcie nasze przedstawia podwójny wierzchołek Elbrusu. Jeden z jego szczytów jest wysoki na 5630 m nad poziom morza, drugi na 5622 m. Odnogi lodowca schodzą aż do 2300 m wysokości. Elbrus jest wygasłym, w epoce lodowej, wulkanem. Po raz pierwszy stanęła na jego szczycie noga ludzka w r. 1868 wzgl. 1874.



LUDY KAUKAZU

Żaden kraj na kuli ziemskiej nie przedstawia takiej różnorodności typów etnograficznych jak Kaukaz. Górale kaukascy należą bowiem do najrozmaitszych plemion, częściowo pochodzenia indogermańskiego, a częściowo turecko-tatarskiego. „Krajem wielu języków" nazywają Kaukaz poeci wschodu. Wszystkie języki plemion kaukaskich można sprowadzić jednak, jak to wykazały najnowsze badania językoznawcze, do dwóch pni językowych, a mianowicie do pnia awaryjskiego i kumyckiego. Mamy tu więc do czynienia raczej z dialektami wymienionych pni językowych, między którymi zachodzą tak wielkie różnice jak np. między językiem niemieckim a szwedzkim.

Z wyjątkiem Osetów, wyznających chrześcijaństwo, górale kaukascy są muzułmanami. Wśród licznych plemion zamieszkujących Kaukaz jednym z najciekawszych są Chewzurowie. Nazwa ta oznacza: „Mieszkańcy wąwozu". Mieszkają oni w kotlinie Kaukazu odległej około 150 km od Tyflisu. Prowadzą zupełnie odosobniony tryb życia. Olbrzymi mur skał otacza Chewzurię, oddzielając ją od reszty świata. Gdy turysta wyjdzie na szczyt tych skał, u stóp jego rozwiera się głęboka przepaść a na jej dnie w olbrzymiej dolinie widać malowniczo położone wsie Chewzurów. Przez groźne, niedostępne góry prowadzi tylko karkołomna ścieżka jedyny łącznik między światem, a plemieniem Chewzurów. W obszernej dolinie Chewzurów panuje cisza i spokój. Można całymi dniami wędrować przez Chewzurię a nie napotkać żywej du-



MODLITWA MĘŻCZYZN PRZED ZŁOŻENIEM OFIARY ZE ZWIERZĄT

Do kultu religijnego Chewzurów należy także składanie krwawych ofiar. Zwierzętami przeznaczonymi na ofiarę są przeważnie owce.



W kole:

KRAJ NAFTY KAUKAZ

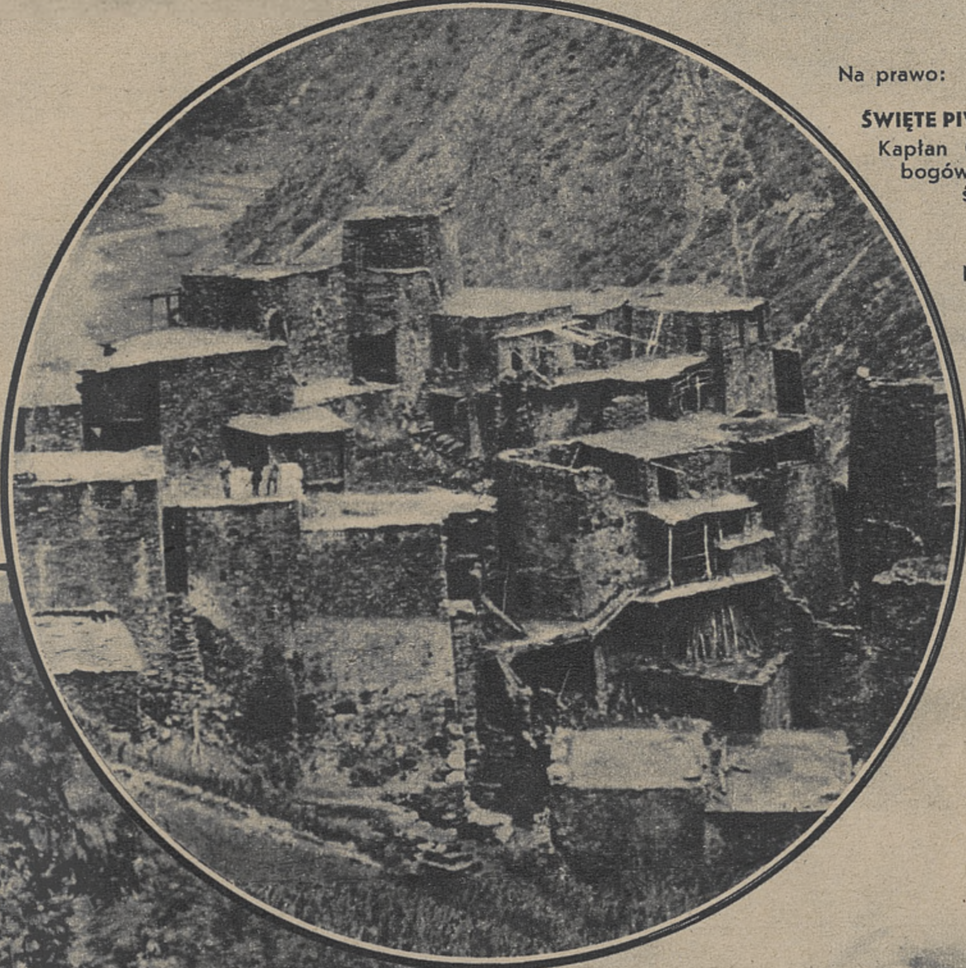
Ośrodkami przemysłu naftowego są: Majkop, znajdujący się w rękach niemieckich, Groznyj, położony w północno-wschodnim Kaukazie i Baku leżące na południowy wschód od Kaukazu. Grube przerywane linie oznaczają rurociągi naftowe.

szy. Chewzurowie mieszkają w 30 warownych grodach, otoczonych murami z czworobocznymi, kamiennymi wieżami. W warownych tych grodach rozrzuconych po całej dolinie mieszka około 20 000 Chewzurów. Lud to pełen dziwnych tajemnic. Różni się bardzo swoim trybem życia, zwyczajami i obyczajami od sąsiadów. Podróżnicy opowiadają cuda o ich bardzo oryginalnym rynsztunku wojennym. Idąc do walki wdziewają na głowę hełm, na nogi i ramiona mosiężne blachy, piersi i plecy chroni koszulka stalowa. W lewej ręce trzyma wojownik tarczę, w prawej dzidę. U pasa noszą proste miecze. Na mieczu i tarczy wyryte są stare herby, orły i przeróżne napisy. W pełnym rynsztunku bojowym przypominają ci wojownicy krzyżowców z wieków średnich. Tak uzbrojeni toczą ze sobą walki, najczęściej pojedynki, przypominające sposobem walki turnieje średniowieczne. Nie tylko uzbrojenie i turnieje są osobliwym zjawiskiem u Chewzurów, nie mniej dziwną i groteskową jest ich religia. Chewzurzy wyznają religię, będącą mieszaniną chrześcijaństwa, islamu i kultu bożków. Czczą oni wprawdzie krzyż i kilku świętych chrześcijańskich, ale nie znają założyciela tej religii Chrystusa. Wyznawanie chrześcijaństwa nie przeszkadza im wcale w oddawaniu czci swym, tradycją przekazanym bożkom: Pirkuszowi, Adgalisdedzie oraz bożkom Wschodu i Zachodu. Sami Chewzurzy uważają się za chrześcijan.

Kobieta zajmuje również niezwykłe stanowisko w plemieniu. Posiada ona wiele przywilejów. Przez sam fakt opuszczenia męża, może ona zerwać swe małżeństwo. Gdy rzuci chusteczkę między walczących, przerywa ich pojedynek Nie wolno jej nigdy zmuszać do zawarcia małżeństwa, musi się jednak pogodzić z będącym w zwyczaju u Chewzurów wielożeństwem. W każdej wsi Chewzurów znajduje się tak zwany „dom kobiet". Do domu tego udaje się kobieta na czas porodu i nikomu nie wolno matce rodzącej udzielić pomocy. Kim są Chewzurzy i od kogo wywodzą swój ród, jest to dla nas tajemnicą. Możliwe że istnieli już od stuleci w swym kotle górskim, może są potomkami rycerzy krzyżowych szukających w tych niedostępnych górach schronienia.







Na prawo:

ŚWIĘTE PIWO JAKO OFIARA

Kapłan Chewzurów zaklina bogów i duchy, ofiarą świętego piwa.

Na prawo u góry:

PRZED DOMEM KOBIET

Kobiety chewzurskie przed wejściem do samrewlo — „domu kobiet" znajdującego się we wsi.

Na prawo:

KOSTER KISTANZA

Stary Chewzur, Koster Kistanza, o którym mówią, że ma 128 lat.

W kole:

WIEŚ-WAROWNIA

Szatil, typowa wieś-warownia, w kraju Chewzurów na Kaukazie.







U dołu:

PŁONĄCE ZBIORNIKI NAFTY POD MAJKOPEM,

podpalone przez bolszewików przed ich ucieczką.

Fot.: Sammlung Seiler 5, P. B. Z. 1, Tschira 1, Scherl 1, Atlantic 1



Dowódca eskadry udziela dzielnym lotniczkom ostatnich wskazówek przed startem. Z baczną uwagą śledzą latające samarytanki ruch jego palca, wskazującego im trasę lotu.



Powyżej:
Nadia Russo jest jedną z najdzielniejszych latających samarytanek rumuńskich. Właśnie w tej chwili przybyła ona na lotnisko, by odwieźć do najbliższego szpitala rannych lotników. Nadia Russo jest mistrzynią w lotach przy złej pogodzie.



W kole na prawo:
Latające samarytanki przewożą nie tylko żołnierzy rumuńskich. Na noszach leży ciężko ranny żołnierz niemiecki, którego zbawczy samolot sanitarny escadrila sanitar przewiezie do najbliższego wielkiego szpitala.

LATAJĄCE

WIZYTA W RUMUŃSKIEJ SZTAFECIE SANITARNEJ KOBIET

Jest świt. Na lotnisku polowym na froncie południowo-wschodnim wysuwają się z hangaru małe maszyny, zaopatrzone w duży czerwony krzyż. Są to maszyny rumuńskiej sztafety sanitarnej, „escadrila sanitar", obsługiwane przez kobiety-pilotki.

Eskadra ta wprowadzona została już w r. 1939 i początkowo miała za zadanie jak najszybsze przewożenie chorych z miejscowości odległych do Bukaresztu lub innego miasta, w którym znajduje się szpital.

Od czasu wojny z Rosją „escadrila sanitar" objęła działalność na froncie południowo-wschodnim. Dzień w dzień, z narażeniem własnego życia, przewożą młode pilotki ciężko rannych żołnierzy z linii frontu na inne wielkie lotnisko lub do szpitali głównych. Często muszą one lądować na wysuniętych naprzód odcinkach frontu, na polach kukurydzianych, ziemniaczyskach albo na gładkiej drodze, na łące lub polach słonecznikowych, czasem też, nie spełniwszy zadania, zmuszone są wracać z niczym, cały teren stoi bowiem pod wodą.

Młode te kobiety — to lotniczki starannie dobierane i długo szkolone. Od dnia wybuchu wojny przeżyły one już wiele set godzin w powietrzu między frontem i etapem. Służba, której się podjęły, jest twarda i ofiarna. Codziennie rano o świcie, startują ich białe maszyny i dopiero z zapadającym zmrokiem wracają znów na swoje lotnisko. Jednakże mimo tego pełnego odpowiedzialności męskiej zawodu, któremu poświęciły się one z całego serca i wszystkich sił, pozostały te dziewczęta prawdziwymi kobietami, pełnymi czaru i wdzięku.

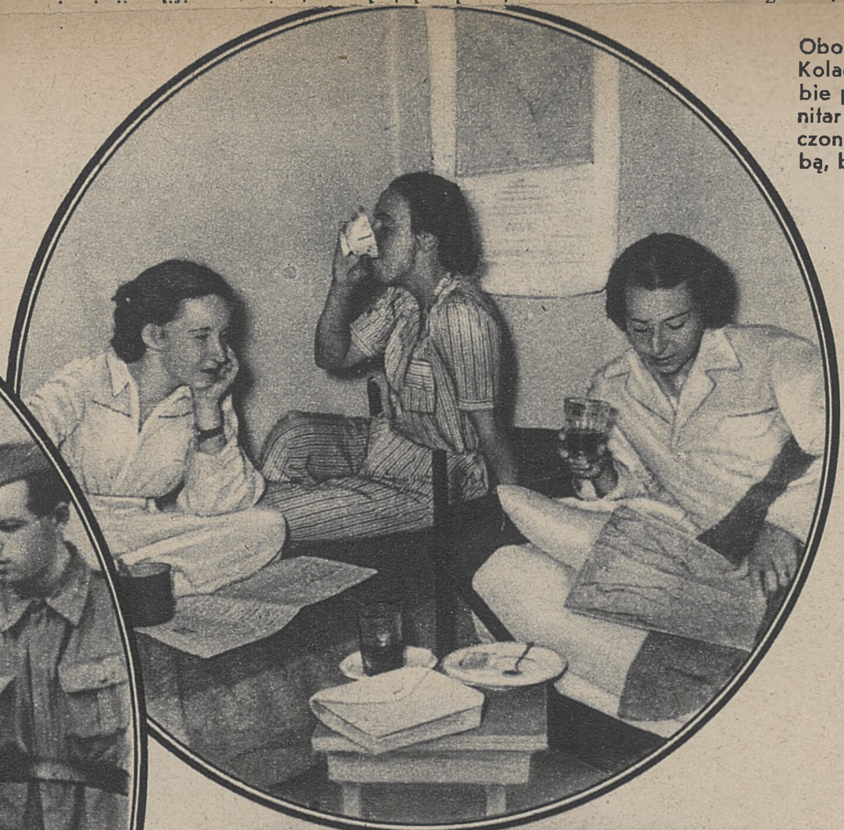
Latające samarytanki mają wszystkie rangę podporuczników lotnictwa rumuńskiego. W październiku 1941 r. zostały one odznaczone jednym z najwyższych odznaczeń lotnictwa rumuńskiego.

Ciąg dalszy ze strony 7-mej przetrwały dotąd w stanie mumifikacji i nie W ciemnościach, które kładły mu się na Krzyczał długo... rozpaczliwie... Nie zda-

Na lotniskach i dworcach wielkich miast Rumunii czekają w pogotowiu ambulanse, które transportują rannych do szpitali. Wozy te obsługują kobiety rumuńskie, poświęcające cały swój czas służbie dla żołnierzy. Poniżej sanitariuszki rumuńskie odprowadzają rannego żołnierza do ambulansu.



Obok:
Kolacje przyrządzają sobie pilotki escadrila sanitar same. Zbyt są zmęczone całodzienną służbą, by wyjść do restauracji lub baru.



Fot. Ilse Steinhoff

SAMARYTANKI!





Obok:
Nadia Russo i Virginia Thomas uratowały już wielu żołnierzom życie, spędziły wiele już set godzin w powietrzu nad linią frontową, żadna z nich nie straciła jednak swego czaru kobiecego. Za swoją pełną poświęcenia służbę i zasługi dla armii otrzymały wszystkie pilotki wysokie odznaczenia.

„MARMUR DĘBNICKI"



Na lewo:
Większość produkcji dębnickiej stanowi od wieków wykuwanie płyt na groby.

Fot. i tekst: W. Walczak

Oddalona o 6 km na pónocny wschód od Krzeszowic, kryje się wśród lasów mała wioska Dębnik, rozbudowana w rozwidleniu górnej części jednej z jarowych dolin progu Wyżyny Małopolskiej. Wieś ta, to jedyna w swoim rodzaju osobliwość naszego kraju. Już z dala dolatuje od niej o każdej porze dnia metaliczny stuk młotów i zgrzyt dłut. To odgłosy codziennej pracy jej mieszkańców, których byt od pół tysiąca lat nierozłącznie związany jest z tutejszymi wystąpieniami krystalicznego czarnego wapienia dewońskiego, dla swych właściwości nazywanego od dawna „marmurem dębnickim".

Kilka łomów, z których największe to łomy Karmelicki i Cekierów, dostarczają od setek lat materiału do wyrobu płyt i pomników grobowych, stopni i kolumn ołtarzowych, płyt posadzkowych itp. po wyszlifowaniu lśniących głęboką siwo-smolistą czernią. Tak zachwycające nas w prastarych kościołach krakowskich lśniące głęboką czernią ołtarze, rzeźby grobowe, większość sarkofagów w wawelskich grobach, a przede wszystkim ołtarze Mariackiego kościoła, właśnie stąd wywędrowały przed wiekami, jako napoły obrobione bryły wapienia, aby pod dłutem krakowskich mistrzów przerodzić się nierzadko w arcydzieła rzeźby.

A tymczasem w Dębniku, leżącym jakby na uboczu, z dala od szerokiego nurtu życia w ten sam sposób dziś jak przed wiekami wyłamuje się w kamieniołomach marmur przy użyciu jedynie siły ludzkich mięśni. Wozami przewozi się bryły do prostych szop i mozolnie klinami i dłutami wykuwa się w nich żądane kształty. Dzisiejsi kamieniarze przejmujący z ojca na syna arkana swego rzemiosła, pracują z tą samą powagą i namaszczeniem z jakim z pewnością ich pradziadowie brali się do dłuta. Z latami, które przechodziły w wieki, potworzyły się tu jakby cechy rodzinne czy klany, wywodzące się od wspólnych pradziadów. Jedną z takich najznaczniejszych rodzin-klanów kamieniarskich jest ród Cekierów, posiadający od setek lat kamieniołom w Cekierowej Górze. Twierdzą, że wywodzą się od przodka Italczyka, którego sprowadzić miał Kazimierz Wielki z Włoch jako mistrza kamieniarskiego.

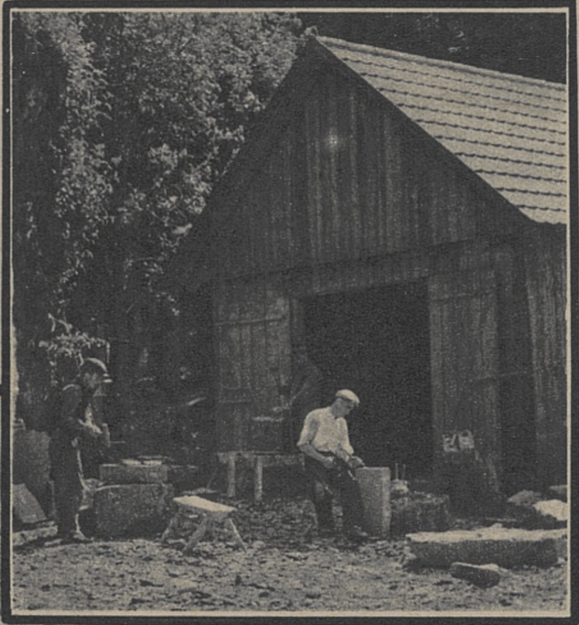
Ostatnie dziesiątki lat wprowadziły w produkcji pewną innowację. Zaczęto wyrabiać przedmioty z zakresu galanterii marmurowej jak przede wszystkim piękne komplety na biurka, zyskujące coraz więcej odbiorców wśród krakowskich kupców. Poza tym nierzadko spotkać tu można prace, świadczące o pewnym poczuciu artystycznym dębnickich kamieniarzy.



Na lewo:
Innowację w wyrobach dębnickich stanowią pięknie rzeźbione marmurowe komplety na biurka.



Poniżej:
Również i niepozbawione artystycznego smaku płaskorzeźby, wychodzą spod dłut dębnickich kamieniarzy.



Poniżej na lewo:
Przeszło sześć wieków mieszkańcy Dębnika żyją z obróbki „czarnego marmuru".



Poniżej:
Pierwotnymi sposobami — jak przed wiekami, wyłamuje się w kamieniołomach bryły „marmuru" i przewozi do wsi.

W PODZIEMIACH ZAMKU

NOWELA — NAPISAŁA W. STĘPOWSKA

Kilkanaście zebranych dokoła przewodnika osób wpatrywało się, z głębokim wzruszeniem, w zieloną toń jeziora, nad którego brzegiem widniały ruiny średniowiecznego zamczyska. Woda sięgała prawie do podnóża murów obronnych grodu, zajmującego przestrzeń około pół kilometra kwadratowego i opierającego się z drugiej strony o niewielkie wzgórze, na którym stało kilkanaście domków mieszkalnych. Krzaki dzikiego bzu, tarniny i jaśminu wychylały się tu i ówdzie, odsłaniając spore części ścian, na wpół zwalonych i zniszczonych przez deszcz i wilgoć. Dwie wieże obronne, czworoboczne u podstawy, okrągłe w górze, strzegły ruin właściwego zamczyska, pozbawionego dachu i będącego już tylko szkieletem dawnej budowli, imponującego jednak dotąd swym ogromem. W obrębie murów obronnych, grubych na trzy metry i więcej, widać było na zrównanym sztucznie terenie studnię z ciosowego kamienia. Stała nieco na uboczu, w kącie, utworzonym przez jedną ze ścian zamku i linię murów obronnych, wiodących szerokim półkolem od pagórka w głębi.

Po drugim najeździe Szwedów i śmierci ostatniego dziedzica, zamek, zniszczony przez pożar i kilkudniowe oblężenie, opustoszał. Chylił się do upadku z roku na rok i dziś stanowi tylko atrakcję dla turystów — objaśniał przewodnik głosem monotonnym, jakby powtarzał wyuczoną lekcję.

Zebrani kiwali głowami na znak potakiwania. Kilka kobiet biorących udział w wycieczce odeszło na bok, by poprawić i uporządkować rozburzone na wietrze włosy. Ich jasne sylwetki i młode, pełne życia twarze, stanowiły dziwny kontrast z rozsypującymi się, zgrzybiałymi murami zamczyska. Reszta towarzystwa przysłuchiwała się jeszcze objaśnieniom przewodnika, zarzucając go pytaniami. Odpowiadał na nie z uśmiechem, zadowolony z wrażenia, jakie wywoływały malownicze ruiny na przyjezdnych ze stolicy. Bądź co bądź, czuł się, jakby królem tych zwalisk i lekceważenie ich historii uważałby prawie za osobistą obrazę.

— A czy to prawda — zapytała jedna z ciekawszych uczestniczek — że zamek posiada podziemny chodnik wiodący do sąsiedniego klasztoru?

— Zamek posiada swoje tajemnice — rzekł przewodnik zażywając tabaki. — To prawda, pod budynkiem znajdować się musiały ongiś rozległe piwnice.... O podziemnych przejściach czytali państwo w książkach. Kto wie? Może są tam jeszcze jakieś korytarze, którymi załoga wychodziła z zamku poza obręb murów. Dziś one wszystkie zasypane są przez gruz.

— A czy to prawda — zapytał stojący obok młodej kobiety przystojny mężczyzna, lat około dwudziestu pięciu — że w tych murach zginął bez śladu w czasie zabawy weselnej pan młody?

Przewodnik skrzywił się z niechęcią. Widocznie wspomnienie to nie sprawiło mu przyjemności. Wzruszył ramionami.

— To było dawno... bardzo dawno — rzekł po chwili. — Jeszcze za życia mojego ojca.

— Niech pan nam o tym opowie — naprzykszała się rezolutna blondynka z figlarnym noskiem, darząc równocześnie uśmiechem stojącego naprzeciwko niej przewodnika. — To będzie bardzo interesujące...

— Dziś jest to może interesujące — rzekł, z pewnym ociąganiem się. — Wówczas wywołało to jednak wstrząsające wrażenie. Pomyślcie państwo... Ktoś, komu życie uśmiecha się, kto wraca od ślubu z piękną i kochającą go żoną, ginie nagle bez śladu... Było to przed czterdziestu laty, a jednak starzy ludzie pamiętają jeszcze, jak strasznie rozpaczała panna młoda... Odchodziła od zmysłów i prawdę mówiąc, kiedy wszelkie poszukiwania spełzły na niczym, kiedy zrezygnowała z nich po kilku dniach, była już tylko cieniem kobiety... Zmarła w dwa miesiące później, a litościwy Bóg ulżył jej cierpieniom, zesławszy na nią przed śmiercią gorączkę, która pozbawiła ją czucia i rozumu... Tak, to był straszny wypadek...

— Nie rozumiem doprawdy — przemówił znowu młodzieniec, — jak mogło przyjść do tego, na oczach wszystkich. Mówiono mi, że było to w czasie zabawy weselnej...

— To prawda — rzekł przewodnik. — Okoliczności, w jakich zginął pan młody są rzeczywiście tajemnicze. Ale nie było to na oczach wszystkich. Jeśli państwo zechcecie posłuchać...

— Usiądźcie państwo tu, na murawie — rzekł przewodnik. — Wypocznijcie sobie, a ja zaspokoję waszą ciekawość.

Zażył potężny niuch tabaki, poprawił włosy, spadające mu na czoło i zaczerpnął w płuca powietrza.

— Zabawa weselna, o której mówię — zaczął opowiadać, — odbywała się w ruinach tego zamku. Piękne jego położenie, zaciszne miejsce i ten, jakby do tańca, stworzony dziedziniec między murami, był zawsze wielką pokusą dla urządzających zabawy i wspólne wycieczki. W owym czasie było ich znacznie więcej niż dzisiaj... kiedy przesądni ludzie miejscowi nie chcą, jak się to mówi, wywoływać wilka z lasu. Nic też dziwnego, że po wyjściu z kościoła — wskazał na ledwie widoczną w gęstwinie otaczających ją drzew wieżę, z błyszczącym w słońcu krzyżem — orszak weselny skierował się w stronę ruin, nad jezioro. Państwa młodych stać było na dobre przyjęcie, gdyż należeli do najzamożniejszych rodzin w sąsiedztwie. Na gości czekały już tu beczki z piwem i zastawione suto stoły. Z muzyką na czele przybył orszak do ruin i objął je w chwilowe posiadanie. Wesoło było i ochoczo, gdyż nie brakło ani jedzenia ani napitku. Panna młoda wiodła prym, a towarzyszące jej drużki nie pozostawały w tyle. Tańce trwały do późnego popołudnia, a kiedy zarządzono przerwę, któraś z dziewcząt zaproponowała, aby zabawiono się w „chowanego". Rzecz prosta, kazano najpierw panu młodemu szukać małżonki. Drużki ukryły ją gdzieś w pobliżu, jak im się zdawało najlepiej, ale pan młody, czy to wiedziony instynktem, czy też sprowadzony na ślad przez jakąś zwolenniczkę, odnalazł żonę bardzo prędko. Z kolei zaproponowano jemu, aby się schował wśród rumowiska i aby panna młoda objęła rolę szukającej. I tak się stało, tylko że tym razem zabawa w „chowanego" przeciągnęła się bardzo długo. Minęło pół godziny, a nikt nie wpadł na ślad poszukiwanego. Po upływie godziny, wszyscy zebrani zaczęli krążyć wśród zwalisk, nawołując i wzywając coraz głośniej pana młodego, który nie dawał znaku życia. Zwolna zaczął wszystkich ogarniać niepokój i przeczucie czegoś strasznego. Wieczór zapadł, później przyszła noc... Poszukiwania prowadzono przy świetle latarń i lamp do rana i przez cały następny dzień. Na próżno! Pan młody przepadł, jak kamień w wodę wrzucony. I nikt go juz więcej nie widział...

Zebrani słuchali, zaciekawieni. Zapadło milczenie. Dopiero po chwili, ktoś zdobył się na pytanie:

— A cóż się stało z zaginionym? Co się mu mogło przytrafić. Może wpadł do studni... Może zbłądził w piwnicach zamczyska?

— Przeszukano piwnice, spuszczano pochodnie do studni, która jest rzeczywiście dość głęboką, zaglądano do każdego kąta, za każdy odłam murów, wszystko na próżno. — Przewodnik zadumał się. — Żadnego śladu nie znaleziono — dodał — a tajemnicze zniknięcie pana młodego spośród weselnych gości, sprawiło, że ludność miejscowa zaczęła omijać ruiny zamczyska, głosząc, że mieszka w nich zły duch. Nic też dziwnego, że tak tragicznie zakończona zabawa weselna, była ostatnią zabawą w obrębie tych zwalisk.

Przerwał i podniósł głowę. — Dajmy spokój smutnym myślom — rzekł. — Kto wie, jak tam było. Zapraszam państwa na kwaśne mleko do mojego domku, tam, obok ruin. Potem wrócicie do zamczyska.

W dwie godziny później towarzystwo zebrało się znowu nad brzegiem jeziora. Rozpoczęła się ożywiona rozmowa, której tematem było opowiadanie przewodnika i pewne reminiscensje, nasuwające się na myśl zebranym, w związku z jego słowami.

— Pomyślcie moi drodzy — odezwała się nagle jedna z pań, smukła brunetka z oczami sarenki — że tu, w obrębie murów, zginął bez śladu człowiek młody i szczęśliwy i nikt nie może powiedzieć, co się z nim stało.

— Chciał się schować przed żoną — wtrącił jej towarzysz, młody Stefan Okrzyca, student politechniki, który od szeregu miesięcy zabiegał o względy przystojnej brunetki. — I udało mu się to.

— Widocznie zabawy w „chowanego" są czasami niebezpieczne — dorzucił jeden z jego kolegów.

— W każdym razie przyznać trzeba, że jest to teren nadający się znakomicie do takiej zabawy — rzekł Stefan, spoglądając z zadumą na zwaliska.

— A gdybyśmy zabawili się w „chowanego" — zawołała nagle pani Ziuta Olędzka, egzaltowana wdówka, która z niechęcią spoglądała na zaloty Stefana i jego flirt z ciemnowłosą Heleną Borawską, jego znajomą i rówieśniczką. — Pomyślcie państwo! Zabawimy się, jak tamci przed laty. Może spłynie na nas natchnienie i staniemy się panami tajemnicy nieszczęśliwego pana młodego sprzed czterdziestu lat. Przecież się nie boicie? Nie jesteście przesądni? — Obrzuciła Stefana wzrokiem wyzywającym.

— Cóż znowu — odparł z niechęcią. — Ale to dziecińustwo!

— Teren i okoliczności sprawiają, że zabawa będzie miała pozory niebezpieczeństwa — rzekła pani Olędzka. — Ja sama pójdę na pierwszy ogień. Pan widzę niezadowolony — dodała. — Nasza młodzież nie lubi narażać swego cennego życia...

— Nie ma tu mowy o żadnym niebezpieczeństwie — odpowiedział Stefan, podrażniony. — Nie wiem tylko, czy inni zgodzą się na tę zabawę.

— Musimy w jakiś sposób spędzić tych kilka godzin, dzielących nas od powrotu — rzekła pani Ziuta. — Nieprawdaż? — zwróciła się do towarzystwa, które jak się zdawało, przyjęło przychylnie jej propozycję.— A więc bawimy się w „chowanego"! Ja zaczynam.

— Jeśli pani pozwoli, ja będę pierwszą ofiarą — rzekł Stefan z lekkim sarkazmem. Przypomnę sobie chwile dzieciństwa.

— Doskonale — zawołała pani Ziuta i klasnęła w ręce. — Ostrzegam jednak, jeśli pana znajdę, będzie mi pan musiał poświęcić pół godziny sam na sam — dodała, spoglądając spod oka na Helenę Borawską, która nie umiała ukryć swego niezadowolenia.

— Proszę o pięć minut czasu — rzekł Stefan. — Muszę zabezpieczyć się przed tak groźnym przeciwnikiem.

Pożegnał towarzystwo skinieniem głowy, klnąc w duchu niewczesną propozycję młodej wdówki. Perspektywa flirtu z nią i to prawie na oczach sympatycznej panny Heleny, zupełnie mu się nie uśmiechała. Ale musiał odrobić pańszczyznę, aby się nie ośmieszać.

Minął krzaki tarniny i przez wyłom w murach obwodowych dostał się na dziedziniec głównego gmachu zamkowego. Na wprost niego, poza studnią, której otwór zasłaniały pokryte pleśnią głazy ciosowe, widniały dwa wejścia do zamczyska, wiodące w głąb zwalisk. Skierował się ku lewemu wejściu. Przez krótki, sklepiony korytarz wszedł do małej sali, pozbawionej drzwi i okien, pełnej głazów i rumowiska, oświetlonej przez wpadające z boku szczeliny słońce. Z sali tej wiódł długi korytarz do miejsca, otoczonego czterema ścianami, które, wnosząc z wąskiego, gotyckiego okna i śladów malowideł na murach, musiało niegdyś służyć za kaplicę. Na wprost okna znajdowało się wzniesienie, pozostałość po ołtarzu, a po przeciwnej stronie, tonącej w mroku, ponurej i wpół zawalonej przez gruz i kamienie, widniały jakoby dwie kolumny, podtrzymujące szczątki niskiego sklepienia. Za jedną z tych kolumn znajdowała się mała nisza, ledwie widoczna i osłonięta przez wystający ku środkowi odłam murów. Było to miejsce, jakby stworzone na kryjówkę.

Stefan spojrzał na zegarek. Jeszcze minuta, a rozpoczną się poszukiwania. Nie tracąc czasu, minął drugą kolumnę i stanął w niszy, przytulony do ściany, pod arkadą sklepienia.

Nie mógł określić, jak długo trwało czekanie. Jak się zdaje, towarzystwo szukało go w innej stronie. Minuta mijała za minutą, a w starej kaplicy panowało zupełne milczenie. Zaczął się nudzić i w duszy jego budził się coraz większy gniew na młodą wdówkę, której nierosądne życzenie kazało mu kryć się, jak dzieciakowi, po kątach. W chwili, kiedy zamierzał już wyjść z ukrycia i zakończyć zabawę w „chowanego", dały się jednak słyszeć kroki i ktoś wszedł do zwalisk kaplicy. Wychylił ostrożnie głowę z poza murów i ujrzał... panią Ziutę. Tego brakowało, aby znalazła go właśnie ona. Widząc, że zmierza w jego stronę, przytulił się do ściany, opierając się o nią plecami. Kroki zbliżały się... Wcisnął się jeszcze głębiej. I w tej chwili uczuł, że ściana ustąpiła. Nie chcąc upaść, cofnął się instynktownie wstecz, wciąż przytulony do usuwających się w głąb głazów. Nagle nogi jego straciły oparcie... Spadł gdzieś w dół i równocześnie do uszu jego doleciał ledwie dosłyszalny zgrzyt i nastała ciemność.

Wyciągnął przed siebie ręce. Był w wąskim korytarzu, o ścianach ociekających wilgocią, u stóp kamiennych schodów, które wiodły w górę. Usiadł, nie zwracając uwagi na stłuczenia i po chwili zaczął czołgać się w stronę wejścia, zamkniętego ruchomymi drzwiami, które odcięły go od świata zewnętrznego. Stopni było zaledwie kilka... siedem lub osiem... Wiodły na małą platformę, ograniczoną z trzech stron gładkimi ścianami. Szukające gorączkowo ręce jego nie napotkały na żadną szczelinę, na żaden mechanizm, umożliwiający przesunięcie się głazów. Wszędzie jednolita ściana, gruby mur, wielkie, przylegające do siebie ściśle głazy. Pot wystąpił mu na czoło... Czyżby to była pułapka bez wyjścia?

Próbował zebrać myśli, wmawiając w siebie, że niepotrzebnie się niepokoi. Zaczął znowu szukać zbawczej szczeliny, a kiedy wszelkie próby zepchnięcia głazów, które odcinały mu drogę powrotu spełzły na niczym, zaczął krzyczeć... Nie upłynęło kilka minut, a trwoga i rosnący z każdą chwilą niepokój, pozbawiły go zupełnie zdolności panowania nad sobą. Krzyki jego coraz głośniejsze, coraz bardziej rozpaczliwe, pozostawały bez odpowiedzi. Nie ulegało wątpliwości, że dzieląca go od świata zewnętrznego ściana, tłumi wszelkie odgłosy życia i stanowi nieprzebytą zaporę. Ale trzeba było dłuższego czasu, zanim w to uwierzył, zanim się poddał i zrezygnował z dalszych wysiłków... Musiało minąć kilka godzin i dopiero wówczas, kiedy posiniaczone i pokaleczone na głazach ręce odmówiły mu posłuszeństwa, Stefan zrozumiał, że tędy nie ma wyjścia. Zeszedł złamany i wyczerpany po oślizgłych stopniach na dół, nie wiedząc co czynić, gdzie szukać ratunku.

I w tej chwili przeniknął go dreszcz zgrozy. Przypomniał sobie opowiadanie przewodnika o tajemniczym zniknięciu pana młodego na zabawie w ruinach zamczyska. Człowiek ten przepadł bez wieści i wszelkie próby odnalezienia go spełzły na niczym. Czyżby, jak on, dał się złapać w pułapkę, w której zginął z dala od świata? Czyżby go teraz czekał los podobny? Przygryzł wargi aby nie krzyczeć. Spokoju! Tylko spokoju! Inaczej zginie!

Sięgnął do kieszeni i odetchnął z ulgą, znalazłszy pudełko zapałek. To mu pozwoliło zorientować się w ciemnościach. Wyjął zapałkę i zaświecił. W mdłym świetle ujrzał, że korytarz, w którym się znajdował, skręca pod kątem ostrym na prawo w dół. Tam było drugie wyjście...

Zerwał się na równe nogi, jakby zbudzony do życia i nie bacząc, że zapałka już zgasła, zaczął iść przed siebie macając rękami ściany.

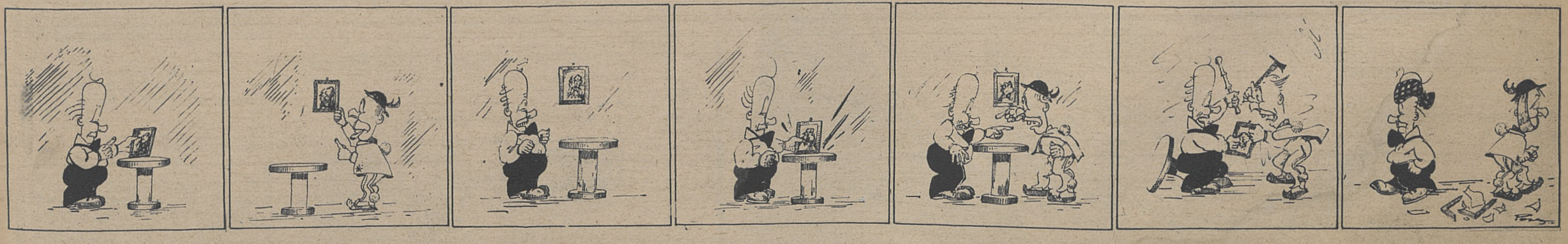
Stąpał ostrożnie, aby nie wpaść w jakąś ukrytą w dnie podziemną studnię. Odgłos jego kroków rozlegał się donośnym echem, jakby w zamkniętej ze wszystkich stron przestrzeni, a wyciągnięte ręce napotykały wciąż na ściany wąskiego chodnika. Nagle korytarz poszerzył się i Stefan znalazł się w dużej komorze, do której przenikało z boku słabe światło dzienne. Wpadało ono przez niewielki otwór, znajdujący się na wysokości jakich trzech metrów nad dnem komory, a mdłe promienie jego umożliwiały zaledwie stwierdzenie jego istnienia. Poza niewielkim polem półmroku, w bezpośrednim sąsiedztwie okienka, czy też szczeliny w ścianie panowały zupełne ciemności.

Stefan zatrzymał się, aby zapalić drugą zapałkę. Mały płomyk rozprószył ciemności i przy świetle jego stwierdził zabłąkany, że korytarz kończył się w niewielkiej sali bez okna i bez drzwi, o ścianach z głazów ciosowych. Sala była pusta i tylko pod przeciwległą ścianą widniał na kamiennej posadzce jakiś ciemny przedmiot. Zapałka

Ciąg dalszy na stronie 8-mej

„CO MA WISIEĆ NIECH NIE STOI".

Rys. i tekst: Pawl.



Rzecz ciekawa! Knotek oto,
Zdobył serce pięknej Hanki,
Po tym... dostał od niej foto; —
Motek zaś zamówił ramki.

Knotek sądził, że w myśl woli —
Musi — jak on chce — stać Hania.
I rzekł: „Portret będzie stał na stole" —
— „Aby wisiał" — Motek skłania.

Że Knotkowa to wybranka, —
Motek odejść z niczym musiał,
Ale, że jest jego ramka —
Więc chciał, aby portret wisiał.

Motek rzecze — „Co za wół!...
Śmiał tu zrobić taką zmianę —
Kładąc portret znów na stół,
Gdym powiesił go na ścianę?" —

Słowo w słowo, kłótnia, wrzaski,
Dalej za łby, dalej w pół, —
Wreszcie poszły też w ruch laski —
„Ja na ścianę!" — „ja na stół!" —

Widać już nauka taka
„Co ma wisieć niech nie stoi!" —
Gdy u dwóch wola jednaka
Często guz się długo goi.

zgasła, zanim młodzieniec zdążył przekonać się, co to takiego. Postąpił zatem kilka kroków, a kiedy nogi jego natrafiły na opór, przyklęknął i wyciągnął ręce. I nagle z piersi jego wydobył się okrzyk zgrozy. Wysunięte naprzód palce oparły się na powleczonym suchą, jak pergamin skórą, szkielecie człowieka, przybranym w butwiejące suknie.

Przypomniał sobie znowu opowiadanie przewodnika i przez głowę przemknęła mu myśl, że oto klęczy nad trupem zaginionego przed czterdziestu laty pana młodego. Drżącymi rękami zapalił trzecią zapałkę i podniósł w górę. Na dnie komory leżało ciało nieżywego człowieka... Panujący w podziemiach chłód i suche powietrze w tej ich części, sprawiły, że zwłoki uległy zepsuciu. Trup leżał na lewym boku z lekko przykurczonymi kolanami. W wykrzywionej niesamowicie twarzy, zwracały uwagę wyszczerzone, jakby w szyderczym uśmiechu, zęby. Palce zmarłego, długie i suche, zdawały się próbować w przedśmiertnym skurczu raz jeszcze poruszyć i przesunąć nieczułe głazy, zamykające go w tym strasznym więzieniu.

Stefan odskoczył przerażony. Więc takim był los zaginionego przed laty młodego małżonka! Znalazł, jak i on, podziemne przejście, ale odkrycie to przypłacił życiem. Zginął z głodu, wyczerpania, czy też z innych powodów? Młodzieniec nie chciał dociekać... To pewne, że zginął nędznie, jak szczur schwytany w pułapkę.

piersi kamieniem, młody student próbował zebrać myśli. Okienko, przez które wpadały słabe promienie światła, było tak małe, że o wydostaniu się tą drogą, nie było mowy. Zresztą, cóż by z tego przyszło? Szczelina w ścianie nie mogła wieść wprost na świat zewnętrzny; należałoby raczej przypuszczać, że jest to odblask, przenikający w głąb jakiejś rozpadliny, jakiegoś komina... Studnia! Tak, to musiał być otwór w ścianie studni. Myśl ta, która zrazu pobudziła serce nieszczęśliwego do żywszego bicia, pozbawiła go jednak, po dłuższym rozumowaniu, wszelkiej nadziei. Studnia była, jak mówił przewodnik, bardzo głęboka i od dziesiątków lat nieużywana. Szczelina w ścianie studni — o ile to była rzeczywiście studnia — była zupełnie niedostępna. O istnieniu jej nikt nie wiedział, nie mógłby przypuszczać, że pozostawała ona w związku z tajemniczym zniknięciem turysty. Biorący udział w wycieczce towarzysze jego sądzili zapewne, że podrażniony uwagami natarczywej wdówki, podążył na stację kolei, skazując zapaloną zwolenniczkę gry w „chowanego" na bezowocne poszukiwania. A jednak, jednak należało spróbować. Przecież to była jedyna droga wiodąca na świat zewnętrzny.

Zebrał wszystkie siły i zaczął krzyczeć. Tylko krzyk mógł sprowadzić ratunek. Inaczej czekała go śmierć z głodu i długie męki, których świadkiem był tylko trup, szydzący z jego bezowocnych starań.

wał sobie sprawy, że tam, na górze, noc zapaść musiała już dawno, gdyż znikło przenikające w głąb światło i w komorze nastała zupełna ciemność. Krzyczał, aby nie oszaleć... A kiedy w piersi zabrakło mu tchu i głos odmówił posłuszeństwa, zdawało mu się, że tam, w kącie, wstaje leżący dotąd bezwładnie trup, wykrzywia z triumfem zeschłe wargi i zbliża się do niego, mówiąc: Jesteśmy związani już z sobą na wieki. Stąd nie ma wyjścia. Nie ma wyjścia!

Wyciągnął ręce przed siebie, jakby dla obrony i osunął się na dno komory.

Musiał stracić przytomność i leżeć bez sił kilka godzin, gdyż ocknął się przemarznięty do szpiku kości. Zbudził go jakiś szmer w bezpośrednim sąsiedztwie. A może tak mu się tylko śniło? Usiadł na kamieniach, próbując zebrać myśli, a kiedy oprzytomniał i zdał sobie znowu sprawę ze straszliwego położenia, przypomniał sobie ten dziwny szmer, który go przywołał do przytomności. Był to pisk szczurów? Nie, odgłos jaki słyszał, miał zupełnie inny charakter. Odgłos ten nie był mu obcy, znał go i spotykał się z nim bardzo często. Ale głowa tak go bolała... Nie mógł przypomnieć sobie co to takiego...

I nagle w ciemnościach ujrzał przed sobą dwa jarzące się światełka. Zabłysły i zgasły znowu. Dreszcz przeniknął go i włosy stanęły mu dębem na głowie

Dokończenie na str. 10-tej

STANISŁAW MARKOWICZ

DZIWNA CHWILA

Uważam, że między nami wszystko jest definitywnie raz na zawsze skończone.

W oczach Andrzeja zamigotała błyskawica gniewu.

— Żegnam panią. — Potrząsnął jej dłonią nonszalancko, obrzucił ironicznym spojrzeniem i odszedł.

Został sam. Szedł przez rozdrgane słońcem ulice, przybity, zgnębiony, nie patrząc na nic, zobojętniały zupełnie. I nie interesowały go promienne oczy kobiet, nie zajmowało zgoła nic. Tylko tam w głębiach duszy odczuwał przykry dojmujący ból, jakiś niepokój szarpał nerwy. A nic dziwnego. Przywiązał się do tej dziewczyny szczerze oddał jej całe serce i duszę, stała mu się wszystkiem, alfą i omegą życia.

Była mu całkiem oddaną. I teraz objęła go pustka, szara nicość kłębiła się zewsząd, niby czarne zwały chmur na zasnutym dżdżem firmamencie, bezmiar nicości opętywał jego mózg. Bo Andrzej zdawał sobie jasno sprawę, że Ewa była jego pierwszą i ostatnią miłością. Dawała mu przecie ze siebie tak wiele, tyle łączyło ich dusze najwznioślejszych węzłów, tak dużo mieli sobie zawsze do powiedzenia. I wczoraj, to dziwne wczoraj, gdy ujrzał ją idącą ze swym najserdeczniejszym przyjacielem pod rękę. Zaiste nie umiał, nie potrafił przejrzeć jej zamiarów. A gdy zażądał wyjaśnienia, wybuchnęła mu w twarz sarkastycznym śmiechem.

Szedł szybko olśnionymi złotem słońca ulicami, a przed nim majaczyła ustawicznie ta sama wizja — bezdenne otchłanne złocisto szmaragdowe oczy jej. I jeszcze na palcach czuł aksamitne, puszyste sploty włosów. Odmęt bólu i cierpienia. Ale on postanowił je zdusić, zdławić. Postanowił zabić je bezmierną pracą w innym środowisku, by nie dopuścić do mózgu ni jednej myśli, ni cienia wspomnień.

Nazajutrz gnał w szalonym pędzie, swym sportowym, perłowym Hannomagiem, ulicami miasta. Jakaś żądza tempa, jakieś pragnienie zapomnienia bólu we wściekłym chaosie, drążyła jego istność. Licznik wskazywał sto. Kamienice przelatywały brunatnymi taśmami błyskawic, żarzący blask kłuł źrenice. Naraz za węgła muru wybiegła jakaś postać, potem na moment, na ułamek sekundy zatrzymała się i nagle straszliwy krzyk rozdarł przestrzeń. Andrzej osadził maszynę na miejscu. Podbiegł ku rannej. Dreszcz zgrozy targnął jego ciałem. W strumieniu krwi bezwładnie leżała Ewa. Porwał ją szybko w ramiona i delikatnie, czule ułożył na poduszkach samochodu i z szalonym iście szatańskim wyciem motoru runął w ulicę.

* * *

Doktór Jankowski pochylił swą rasową, piękną twarz nad chorą.

— Lepiej prawda?

W oczach nieszczęśliwej zamigotały złotawe ogniki.

— Czy Andrzej jest tutaj? — dziwny niepokój drgał w jej głosie.

Potem przymknęła oczy i blady uśmiech spoczął na jej wargach.

— Wiesz Andrzeju — szept jej przerywał się co moment. — To była jakaś dziwna chwila. Gdy rozstałeś się ze mną nie mogłam już przyjść do równowagi. Całą duszą, całem sercem pragnęłam byś wrócił. Ale cóż, znałam twą dumę i wiedziałam, że nie stanie się to nigdy.

Dziwna chwila! Na czole mężczyzny pojawiła się bruzda. Srebrne światło lampy rzucało niezwykłe blaski na twarz chorej, jakaś cisza dzwoniąca, snuła się po pokoju. I wtedy przed oczyma Andrzeja zamajaczyła zjawa długiej, niekończącej się, straszliwie powikłanej drogi.

— Dziwna chwila! — powtórzył jak echo i zamilkł.

* * *

Pani Ewa siedziała w swym luksusowym buduarze przed srebrną taflą lustra i zmrużonymi oczyma badała układające się na jej giętkiej figurze linie wytwornej, balowej toalety. Zgrabna sylwetka harmonizowała świetnie z barwą sukni. Ciężkie fałdy złotej lamy opłatały cudowne kształty.

— Andrzeju! — głos kobiety drgał niskimi, przymilnymi frazami. — Wyobraź sobie, czy nie czarownie wyglądałabym w tej kolii brylantowej, którą oglądaliśmy wczoraj na wystawie?

Rozkosznie czule pogładziła go po włosach.

— Wiem kochanie ale, ale... — w tonie jego brzmiała nuta niepewności — przecie nie stać nas na takie rzeczy.

— Ty masz zawsze tylko jedną odpowiedź — nie stać! Naprawdę, wierzaj mi, nie mogę tego kompletnie zrozumieć. Jesteś przecie naczelnym dyrektorem banku a Ziuta, której mąż jest jedynie wice ma czego dusza zapragnie.

Twarz Andrzeja powlekła mgła smutku.

— I ten Hannomag mi się już znudził — ciągnęła dalej pudrując nosek. — Spraw mi Lincolna! — ton jej drgał kapryśnymi odcieniami.

— Ależ najdroższa, skąd ja ci na to wszystko wezmę pieniędzy?

— Mnie to nic nie obchodzi — rzuciła mu w twarz brutalnie, — jeśli nie, to odejdę.

— Dziwna chwila — szepnął do siebie Andrzej i pogrążył się w głębokiej zadumie. A tylko przed oczyma jego rozwinęła się długa niekończąca się powikłana wstęga, zawiłej drogi.

— Jedziemy Ewo! Już dziesiąta!

* * *

Ciężka, bezsenna noc wlokła się Andrzejowi beznadziejnie. Przez zwoje mózgu przewalały się fale myśli, wzburzonych jakby odmęty smaganego tajfunem oceanu, rzędy, szeregi, linie cyfr i liczb przesuwały się przed jego oczyma. Sumował. Wreszcie prawie okrzyk przerażenia wydarł się z jego gardła. Sto tysięcy złotych długu. A ja mam tylko trzy tysiące pensji. Tarł nerwowo swe czoło. Nagle złowroga błyskawica myśli przewinęła się pod jego czaszką. W duszy zaczęła się walka. Tam w mroku, widniały poroztwierane odrzwia pancernych kas.—We wnętrzu ich płonęło jaskrawo pożogą złoto. Zdecydowanie szybko choć trochę nerwowo ubrał się i za parę minut walił już pustymi ulicami miasta. — Przecie to dla niej! — ciągnie uparta myśl tłukła mu się pod czaszką. Dla niej jedynej, najdroższej!

Ulice ziały ciemnią. Tu i tam tylko zza jasno oświetlonych szyb kawiarń i dancingów, buchały opętańcze tony jazzu. Poprzez mgłę widać było snujące się sylwetki w rytm namiętnych melodyj tang. — Dla niej, jedynej — szeptał Andrzej zwiększając coraz bardziej tempo maszyny. Na tle przyćmionych lamp majaczyły jej złotawo-szmaragdowe oczy.

* * *

Pani Ewa ujęła swą wypielęgnowaną, wymanicurowaną rączką słuchawkę telefonu.

— Proszę doktora Jankowskiego. Ty? Najdroższy, witam cię, ślę ci najsłodsze tchnienia mych warg. Pamiętasz? Wtedy ta bajeczna letnia noc. — Po szkarłatnych jej ustach przewinęło się niby muśnięcie pocałunku. Upojne wspomnienie.

— Tak, zaraz.

Położyła spokojnie na widełki słuchawkę.

Dokończenie na str. 10-tej

Chrystus Przydrożny

Między gałęziami klonu, wśród nieśmiało trzepocących listków, wisi cierniowy drogowskaz — uwięziony na rozstajach Chrystus.

Nikt się do Niego nie modli. (U nas we wsi jest wspaniały kościół, gdzie wisi Chrystus piękniejszy i ramiona przybite ma prościej).

I tylko wiatr rozczochrany, co w słonecznych się kąpie ozłociach, przyniesie promień zbłąkany i w cierniowym zawiesi oplocie.

I popod kolce się wciska, chce Mu oczy weselem rozjarzyć, aż wreszcie spływa bezszmernie, łzą słoneczną po zmęczonej twarzy.

I tylko cisza nadpolna dzwoniąc pośród ugorów i ściernisk, msze uroczyste odprawia dla skrzydlatych i pachnących wiernych.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

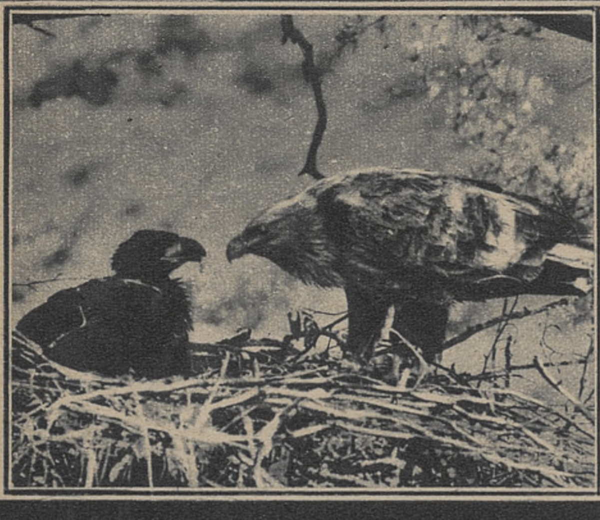
...Między gałęziami klonu, wśród nieśmiało szeleszczących listków czeka na ludzką modlitwę, uwięziony na rozstajach Chrystus.

B. Król

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ORZEŁ CARSKI









Jak lew jest królem zwierząt, tak królem ptaków jest majestatyczny orzeł. Jest on prawdziwym „rara avis" gnieździ się bowiem na niedostępnych skałach, wzlatując ponad szczyty, w chmury i w niebo, rzadko widoczny dla zwykłych śmiertelników, znających go prawie tylko z opisów i zdjęć. Są jednak orły, które się trochę bardziej „pospolitują", żyją bowiem wśród lasów i nad wodami. Do takich orłów należy orzeł carski i orlik, najbardziej tchórzliwy z tych wspaniałych ptaków drapieżnych. Orzeł carski należy do największych drapieżników Europy, rozpiętość jego skrzydeł dochodzi do 2,5 m. Żyje on do stu lat. Ilustracje nasze pokazują nam pewne fragmenty z życia tego wielkiego ptaka.

Od góry: Pod koniec lutego, gdy śnieg staje się już miękki i mokry pod wpływem słońca, przygotowuje orzeł carski gniazdo do wylęgu.

Poniżej: Para orłów na gnieździe. Orlica wysiaduje jajka, a samiec przynosi jej pożywienie.

W środku: Trzymiesięczny orzeł próbuje swych skrzydeł.

Zupełnie już rozwinięty orzeł opuszcza rodzicielskie gniazdo by zacząć samodzielne życie.

Fot. Ufa

Dokończenie ze strony 9-tej

Andrzej Gerdycz osadził wspaniałego stukonnego Lincolna przed bramą swej willi. Będzie Ewa się cieszyła — szeptał, biegnąc szybko przez hall do jej buduaru. Otworzył drzwi. Pokój był pusty.

— Ewo, Ewuniu głos odbił się ponurym echem po ścianach pokoi i salonów. Naraz oczy jego pociągnęła biała długa koperta, leżąca na toaletce.

— Tak to pismo Ewy! Nie miał sił, po prostu nie potrafił na tyle skoncentrować woli, aby ją otworzyć. Wreszcie gwałtownym ruchem rozerwał brzeg.

Na białym papierze czerniły się niby widma śmierci zawiłe linie jej pisma.

„Nie szukaj mię, bo nie znajdziesz. Poza tym uważam, że między nami jest raz na zawsze wszystko definitywnie skończone.

Ewa."

— Dziwna chwila! — list bezwiednie wypadł mu z ręki. Machinalnie wyjął z kieszeni małe etui i wyciągnął ogromną mieniącą się tęczowymi blaskami brylantową kolię.

— To dla niej! — szepnął i wbił bezmyślnie wzrok w tryskające zimnią barw klejnoty.

W jadalni zegar wybił którąś tam godzinę — bezwzględna wstęga czasu płynęła dalej w przestrzeń, w wszechświat, nanizując na swe koła wieczyście pędzące — ból i rozpacz, uciechę i wesele, uśmiech i łzy. Zawsze obojętna, zawsze ta sama.

* * *

Prokurator Sądu Najwyższego dr. Pilawski powstał ze swego miejsca. Jego wysoka, dumna, wyniosła postać rysowała się na tle ścian sali majestatycznie prawie groźnie. Potoczył stalowymi, zimnymi oczyma po zebranych, potem wbił je uparcie, dogłębnie w twarz oskarżonego.

„Oto widzicie państwo — zaczął donośnym o melodyjnych brzmieniach głosem — tak niesłychanie destrukcyjny wpływ kobiety. Dyrektor Andrzej Gerdycz — niegdyś człowiek kryształowego charakteru i przeszlachetnej prawości, zstąpił na drogi zła i zbrodni. I jedynym powodem, jedyną przyczyną tego kroku stała się — ubóstwiana, uwielbiana przezeń nad życie — żona, której nacisk złamał temu człowiekowi całą karierę.

A mówi nam to aż nazbyt wiele. Obrazuje najlepiej, tegoczesną erę. Utwierdza, że kobieta dzisiejsza niezdolną jest kompletnie do twardej walki o byt, niezdolną jest do żadnych uniesień ponad uwielbienie, ubóstwienie, bałwochwalcze wprost, złota. Dla niej nie znaczy nic idea, uczucie, prawość, honor, człowieczeństwo. — Ona obłąkana, zahipnotyzowana, omamiona pożogą życia i użycia, pozbawiona wszelkich zasad uczciwości kobiecej, pociąga za sobą nieraz najszlachetniejsze, najbardziej prawe indywidualności.

Toteż w imieniu prawa Najwyższy Sądzie — żądam natychmiastowego wysłania listów gończych za Ewą Gerdycz i postawienia jej przed najsurowszym trybunałem sumień. Zaś za zbrodnię defraudacji majątku państwowego przez Andrzeja Gerdycza żądam kary 2 lat więzienia. Człowieka bowiem z wolą — nie powinny łamać czyjeś perfidne kaprysy.

A teraz zapytam niechaj powie mi szczerze oskarżony — co było prawdziwą przyczyną jego zbrodni?

— Dziwna chwila! Bo ilekroć uczułem, że złuda szczęścia przychodzi na mój próg, wtedy zjawiał się czart i złoty puhar wytrącał mi z ręki — odpowiedział Andrzej i bezwładnie osunął się na ławkę.

Dokończenie ze strony 8-mej

z przerażenia, gdyż niesamowite ogniki przypominały widziane tylekroć na obrazach gorejące oczy upiora. Zacisnął powieki, starając się całą siłą woli opanować zwierzęcy strach. W tej chwili do uszu jego doleciał znajomy mu dobrze dźwięk... ciche miauczenie kota. Otworzył oczy i spojrzał przed siebie. Ogniki poruszały się zwolna w pewnej odległości od niego... Nie ulegało wątpliwości... Były to oczy kota, który jakiemiś, sobie tylko znanymi, drogami przywędrował do tej straszliwej piwnicy. Zapewne był tu częstym gościem, gdyż poruszał się zupełnie swobodnie...

Kot! W sercu nieszczęśliwego młodzieńca zbudziła się nadzieja. Przecież to był łącznik ze światem, z tym światem, który niedawno jeszcze wydawał mu się straconym na zawsze. Gdyby się dało... gdyby się tylko dało...

Stefan wspiął się na palce i zaczął się posuwać zwolna w stronę, w której jak przypuszczał, znajdowało się okienko. Ogniki zgasły, a serce przestało bić w piersi młodzieńca. A więc stracone! Nie, kot nie uciekł... Trwał nadal w kącie komory miaucząc cicho. Widocznie zauważył niespodziewanego gościa w znajomym sobie terenie i rozważał, co mu czynić wypada. Zdaje się jednak, że zachowanie się Stefana nie budziło w nim niepokoju. Młody student zbliżał się krok za krokiem do przeciwległej ściany. W pewnej chwili zdecydował się na zapalenie zapałki.

W odległości kilku kroków od niego, siedział na kamiennej posadzce duży, szary kot. Wpatrywał się w człowieka szeroko otwartymi oczami i pomrukiwał przyjaźnie. Nie zdradzał żadnej obawy, a kiedy drżący ze wzruszenia Stefan odważył się podejść bliżej, stanął na czterech łapach, wyginając grzbiet w kabłąk. Zapałka dopalała się w palcach młodego studenta, kiedy ostrożnie nachylił się i nagłym ruchem nie panując nad sobą, przygniótł kota do posadzki, jakby obawiał się, że ucieknie mu w ostatniej chwili. Zwierzę zamiauczało głośno, ale widząc, że napastnik nie robi mu nic złego, przestało wyrywać się z jego rąk. Stefan usiadł na ziemi, trzymając kota w objęciach. Musiał ochłonąć.

To była jego ostatnia deska ratunku. Ułożył plan, który mógł mu przynieść wybawienie. Należało napisać list z prośbą o pomoc i przesłać go przez kota. Jeśli zwierzę — a takby należało wnosić — nie jest przybłędą, ale pochodzi z jednego z pobliskich domów, kartka papieru przywiązana do jego szyi, winna zwrócić natychmiast uwagę. A reszta należy do Boga!

Podtrzymując kota kolanami, zdołał wydobyć z zanadrza notatnik i ołówek. Wydarł kartkę, rozłożył ją na kamieniach i zaczął pisać drżącymi rękoma. Szło mu niesporo, gdyż zwierzę zaczęło się wyrywać, ale w końcu zdołał nakreślić kilka słów:

— „Zamknięty w podziemiu. Tajemne wejście. Ostrożnie pchnąć ukryte drzwi w kaplicy, w niszy za ostatnią kolumną. Ratunku!" — Zerwał szybkim ruchem krawatkę i rozdarłszy ją na części, przywiązał silnie złożony w rulonik list kawałkiem sukna do szyi kota. Potem wstał i upewniwszy się, czy papier złożony jest dobrze, zapalił jeszcze jedną zapałkę i posadził zwierzę na brzegu okienka. Zniknęło w ciemnościach... Stefan opadł bez sił, na gładkie, zimne kamienie obok trupa...

Zaczęło się długie jak wieczność czekanie. Podniecenie i zgroza przeszkadzały uwięzionemu myśleć o głodzie. Ilekroć jednak zwrócił oczy w kąt komory, gdzie w ciemności kryły się śmiertelne szczątki jego poprzednika, przychodziły mu do głowy straszne myśli... Bądź co bądź, wszystko zależało od szczęścia. To pewne, że zwierzę będzie usiłowało uwolnić się od zaciskającego mu szyję sukiennego sznurka i jeśli przywiązany do niej list nie zwróci uwagi, zerwie go w ciągu najbliższych godzin. A jeśli pismo nawet dojdzie do jakiegoś człowieka, to odszukanie wejścia do podziemia może stanowić poważną trudność.

Stefan zaczął modlić się żarliwie i na tej modlitwie zeszło mu kilka godzin... może najstraszniejszych godzin w życiu. Zbudził się dzień, gdyż przez szczelinę w murze zaczęło znowu przenikać słabe światło od zewnątrz. Student zawlókł się po stopniach na górę pod ruchomą ścianę kaplicy i położył się na kamieniach jak pies, warujący na progu domu.

I tu znaleziono go później zemdlonego.

— Ocalenie pana uważam za cud — rzekł jeden z wieśniaków w którego domu znalazł Stefan chwilowe schronienie. Nikt nie wiedział o pańskim zniknięciu i gdyby nie mój mały, który dziś rano zauważył na szyi swego ulubionego kota jakąś kartkę, nie wyszedłbyś już żywy z podziemia. Tak jak tamten... Mój Boże!

— Odnalezienie wejścia nie było takie trudne — rzekł siedzący przy łożu Stefana człowiek, w którym młodzieniec poznał przewodnika wycieczki — ale ruchome drzwi nie dały się zrazu podeprzeć i dopiero podsunięcie pod próg wielkiego głazu udaremniło działanie mechanizmu. Cały kamienny blok, grubości prawie pół metra, obracał się na osi za lekkim pchnięciem od zewnątrz, ale wracał na dawne miejsce z dużą siłą, tak, że gdyby się pan nawet zorientował, nie mógłbyś powstrzymać go od zamknięcia. Ciężkie chwile przeżyłeś tam, w podziemiu. Ale Opatrzność Boża czuwała nad Panem... I skończyło się dobrze. Szczątki tamtego przenieśliśmy do kościoła. Pojutrze sprawimy mu chrześcijański pogrzeb.

— Pójdę i ja za trumną — rzekł Stefan. — Biedaczysko! Był przecież towarzyszem moim w ciągu tych okropnych godzin, kiedy strach i rozpacz chwytały mnie za gardło, serce zamierało w piersi z przerażenia na myśl, że zginę z głodu i wyczerpana, a o śmierci mej nie dowie się nikt z ludzi.

— Pomodlimy się wszyscy za jego duszę — rzekł stary wieśniak. — Zawiadomiliśmy już rodzinę o znalezieniu ciała nieszczęśliwego.

— Na razie musi pan odpocząć — przemówił znowu gospodarz. — Czym chata bogata tym, rada. Jasiek, przynieś Mruczka! — zawołał na stojącego w drzwiach kilkoletniego chłopca. — Pan chce zapewne zobaczyć swego wybawcę?

EUGENIUSZ KOLANKOWSKI

RZEŹBIARZ NA PLAŻY

Pan Hipolit Żerdka, znany rzeźbiarz, lubiał każdą wolną chwilę spędzać nad brzegiem rzeki, gdzie prężył swoje ciało w palących promieniach słońca. A kiedy to słońce zbytnio dopiekało, pan Hipolit wchodził do rzeki i pławił się w niezbyt czystej wodzie jak małe dzieciątko.

Ale pan Hipolit, jak wszyscy zresztą sławni artyści, miał swoją manię, swoje „widzi mi się"... Po prostu nie uznawał spodenek kąpielowych. I z tej prostej przyczyny musiał plażować się parę kilometrów za miastem.

Tak było i tego popołudnia.

W cichym ustroniu rozebrał się pod krzaczkiem, potem w stroju Adama wyciągnął się w ciepłym piasku i w złocistym półśnie myślał o swojej sztuce. Uległ nastrojowi... Nic dziwnego, kto nie ulega nastrojowi, ten nie jest artystą. Uczucia przybierały u niego formy posągów... Postacie wyrażające zadumę i spokój przemieniały się w roztańczone nimfy wodne...

A słoneczko dopiekało, dopiekało...

Toteż pan Hipolit podniósł się pomału i majestatycznym krokiem podszedł nad sam brzeg rzeki. Dla pewności trzymał w ręce gałązkę wikliny, która zastępowała listek figowy.

Po sekundzie zanurzył się w wodzie. Rzeka w tym miejscu była dosyć głęboka, tak że woda sięgała mu po szyję. Było mu przyjemnie. Uczuł rzeźkość, radość i beztroskę — — —.

Na miłym pluskaniu spędził cały kwadrans i właśnie zamierzał już wyjść na brzeg, kiedy usłyszał jakieś głosiki i odgłos kroków.

Spojrzał na lewo.

Kilka metrów przed nim wyłoniły się zza zakrętu rzeki trzy urocze dziewoje.

Podeszły bliżej. Jedna z nich rozścieliła koc obok krzaczka, pod którym leżało ubranie pana Hipolita. Następnie urocze panny położyły się wygodnie i zaczęły obserwować kąpiącego się pana.

— Wiecie, — rzekła jedna do przyjaciółek, spoglądając Hipolitowi prosto w twarz, — to ten znany rzeźbiarz!

Pan Hipolit rzucił wściekłe spojrzenie ku pannom. Zaczęło robić mu się zimno. Na domiar złego większa chmura zasłoniła słońce i sławny rzeźbiarz uczuł, że dłużej w wodzie usiedzieć już nie zdoła.

— Co robić? Jak wyjść na brzeg? — łamał sobie głowę. Wszystkie członki ciała pod wpływem zimnej wody skurczyły się, tak że nawet w ostatecznym razie nie będzie się można czym pochwalić przed pannami. Trząsł się jak w febrze. Uczuł zimny dreszcz. Twarz mu zesiniała, nogi zaczęły drętwieć.

Tragizm sytuacji wzbudził w nim... wzniosłość ducha... Jeżeli — myślał gorączkowo — w tej tragicznej chwili, gdy godzą we mnie ciosy, kiedy padam siny i drżący w nierównej walce z losem — nie zdobędę się na niezłomność ducha, wówczas wzbudzę w tych paniach zamiast podziwu — litość, a w najlepszym razie — współczucie.

I zrobiwszy w duchu znak krzyża — ruszył powoli w stronę brzegu. Po chwili z wody wyłoniła się klatka piersiowa pana Hipolita. Zawahał się... Nie lubiał być obserwowanym z tyłu, a tym bardziej w tej chwili z przodu, a faktem było, że trzy urocze dziewoje przypatrywały mu się z zaciekawieniem.

Lekki skurcz w lewej nodze dodał mu odwagi...

Zrobił znowu krok i ukazała się linia brzucha, zrobił jeszcze jeden i jeszcze jeden i panny wydały okrzyk — nie wiadomo czego: oburzenia czy radości...

Pan Hipolit w podskokach kangurowych podbiegł do ubrania i chwyciwszy je — zniknął w krzakach.

Panie jeszcze długo komentowały całe zdarzenie.

— Wiecie — mówiła jedna — ciekawe, taki wielki rzeźbiarz, a rzeźbi takim małym dłutem.



Pozwolisz papierosa?
Dziękuję, przysięgłam nigdy więcej nie palić.
No to weź jednego, wypalisz go jutro.
(Sempre-Fixe, Portugalia)

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— Panie płatniczy, przecież jem u was obiady w abonamencie, dlaczego dzisiaj mam jeden tylko plasterek pieczeni, kiedy zwykle dostaję dwa?
— Bardzo pana przepraszam — kucharz dzisiaj zapomniał przekroić.

•

— Chcę być zupełnie szczerym z panem, panie Alfredzie — mówi ojciec do młodzieńca, który oświadcza się o rękę jego córki — odpowiedź czy moja córka zostanie pańską żoną, zależy całkowicie od pańskiej sytuacji finansowej.
— A to zadziwiające proszę pana — bo maja sytuacja finansowa zależy całkowicie od pańskiej odpowiedzi.

•

— Muszę wyznać, iż nie ma nic przyjemniejszego na świecie, nad towarzystwo pięknej kobiety, z którą przepędza się wieczór!
— No, to się ożeń, a będziesz mógł co wieczór tak mile czas przepędzać.
— Tak to prawda... Ale co by moja żona powiedziała, gdyby się o tym dowiedziała?

•

— Ale się pan zmienił panie Kwoczka!
— Ja się nie nazywam Kwoczka!
— To i nazwisko pan sobie zmienił!

•

— Więc to ma być twoja mądra papuga? Przecież ona nic nie gada!
— Bo się od wczoraj gniewamy!

•

ZAZDROŚĆ ZZA GROBU.
Pierwszy mąż: „Nie!"
(Münchner Illustrierte Presse)

Po obiedzie bardzo mizernym, skąpa gospodyni pyta zaproszonego gościa:
— Kiedy pan następnym razem zechce zjeść u nas obiad?
— Najchętniej zaraz proszę pani...

•

Proszę pana — mówi młodzieniec, starający się o pannę do jej ojca — ja będę pańską córkę nosił na rękach, ale...
— Co, ale?
— Ale przedtem musi mi pan pomóc stanąć na nogi.



Bandyci między sobą: „Nastawiam budzik o godzinę wcześniej, by miał czas przed odejściem do biura uporządkować mieszkanie".
(Das Illustrierte Blatt)

Żona pana Szpyrki zginęła. Po trzech dniach telefonują z komisariatu policji:
— Odnaleźliśmy, zdaje się pańską żonę.
— A co ona mówi?
— Milczy.
— Nie, to nie jest moja żona.

•

— Przed każdą podróżą jestem dzień chory.
— To podróżuj dzień wcześniej.

•

— Kto tak gada bez przerwy w sąsiednim pokoju?
— To mój sublokator, fryzjer, który się goli.
— A po co on mówi przy tym?
— Bo chce namówić siebie samego na mycie głowy.

•

Na wyścigach lubelskich siedzi kilku gości z prowincji. Wtem pyta jeden drugiego:
— Nie wie pan, gdzie tu jest totalizator?
— Nie mam pojęcia, ale myślę, że jak pan pójdzie gdzieś na bok, to nikt nie zauważy.

•

— Jakim sposobem ustalił pan, że oskarżony był zupełnie pijany?
— Wszczął gwałtowny spór z szoferem taksówki...
— To przecież żaden dowód...
— Tak, ale tam żadnej taksówki, ani szofera nie było.

•

— Mówię panu — mam tyle kłopotów z powodu moich długów, że po prostu jednej nocy nie śpię.
— I jakże to pan może wytrzymać tak długo bez snu?
— Sypiam we dnie.

Rozrywki umysłowe

KIEDY PRZYJDZIESZ?

Kazia zapytuje przez telefon swego narzeczonego Henryka, kiedy do niej przyjdzie. Henryk lubi dawać nieco zawiłe odpowiedzi, dlatego też odpowiada: — „Gdyby dla wczoraj była środa jutrem, mógłbym dziś przyjść do ciebie. Ponieważ jednak miało to miejsce dla przedwczoraj, więc będę mógł przyjść dopiero wtedy, gdy jutro będzie wczoraj.

Kazia jednak była zadowolona z odpowiedzi. Znała ona dobrze zagadkowy sposób mówienia Henryka i wiedziała całkiem dokładnie, kiedy przyjdzie jej ukochany.

NIEZWYKŁA HISTORIA

Jedna z gazet ogłosiła następującą historię z życia ptaków:

„W ogrodzie ogrodnika Jasińskiego rozegrał się w tych dniach mały dramat. W domku dla szpaków gnieździła się para sikorek. Gdy para ptaszków wspólnie raz wyfrunęła na poszukiwanie żywności, przyleciała kukułka i zniosła jajko. Sikorki nie zauważyły intruza i wygrzewały jajko. Wykłuła się z niego młoda kukułka i rosła znacznie szybciej niż sikorki. Stała się w końcu tak wielką, że nie mogła opuścić gniazdka i marnie zginęła".

Na drugi dzień otrzymał tygodnik ów, listy, że opowiedziana historia nie odpowiada prawdzie. Dlaczego?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 34

Stopień pokrewieństwa

Przełożona pozwoliła Krysi wyjść na spacer, gdyż pan Kazio był rodzonym bratem panny Krysi.

Chłodne piwo

Po zamknięciu kranu zwierciadło wody powinno znajdować się na równi z brzegiem wiadra. Henryk natomiast zauważył, że poziom wody był o kilka cm poniżej, co świadczyło, że ktoś flaszkę wyjął.

Dziwna firma

Urzędnicy tej firmy zajmują następujące stanowiska:
Pan Kozłowski jest właścicielem firmy,
Pan Ptak pierwszym kierownikiem,
Pani Drożdżowa drugim kierownikiem,
Pan Wróbel trzecim kierownikiem,
Pan Kowal kasjerem,
Pan Marzec pierwszym pomocnikiem kasjera,
Pani Szewcowa drugim pomocnikiem kasjera,
Panna Hoffmanówna buchalterem,
Pani Holendrowa pierwszą stenotypistką,
Panna Gwoździówna drugą stenotypistką,
Pan Knapik portierem.

UWAGA! FOTOAMATORZY!



PODWIECZOREK ŻNIWIARZY
Powyższe, pełne prostoty i o aktualnym temacie zdjęcie, może służyć jako wzór dla fotoamatorów, narzekających na brak tematu. Należy tylko pofatygować się z aparatem w pole, a praca rolnika, zwłaszcza w okresie żniw nasunie każdemu wiele przepięknych momentów. Wykonał p. Marszałek z Ulanicy p. Dynów.



W NIEDZIELĘ PRZED WIEJSKIM KOŚCIÓŁKIEM
Też realizmu, prostoty i rozmodlonej ciszy zawiera w sobie powyższy obrazek. Zamieszczamy go również jako przykład. Temat niewyszukany, jednak bardzo piękny. Wykonał p. Al. Łempicki z Piotrkowic koło Jędrzejowa. Aparat Retina, przesłona 16, czas naświetl. 1/25 sek.

Nowoczesny Rzym



Dom ten stylem przypomina trochę budowle Południowej Ameryki, dostosowany jest jednak do klimatu włoskiego.

Poniżej widzimy blok mieszkaniowy w Rzymie od strony podwórza. Czynsz za mieszkanie w tym bloku jest bardzo wysoki. Z górnych pięter roztacza się wspaniały widok na Rzym i Kampanię.



Styl tego domu może się nie wszystkim podobać, pod jasnym niebem południa nie razi on jednak.

NOWE OBLICZE WIECZNEGO MIASTA



Turysta, który jeszcze przed dwudziestu laty zwiedzić chciał Włochy w miejscach najbardziej pulsujących życiem, otrzymywał radę, by udał się do Mediolanu lub wielkich miast portowych. Od tego czasu wiele się w tym poglądzie zmieniło. Żeby zobaczyć najbardziej ożywione ognisko, jedzie się bowiem dzisiaj do Rzymu. Rzym, wieczne miasto, jest dzisiaj zarazem miastem najmłodszym. Począwszy od roku 1923 wzrasta liczba jego ludności przeciętnie o 30.000 mieszkańców, od roku 1932 zaś o 40.000 mieszkańców rocznie. Sama więc ludność tego przyrostu tworzyć by mogła małe miasteczka dla siebie. Podczas gdy w roku 1938 liczył Rzym już 1.234.000 mieszkańców, w r. 1940 wzrosła liczba ta do 1.330.000, a dzisiaj liczy on już 1.420.000 mieszkańców, przy czym liczba ludności zwiększa się z dnia na dzień.

Gdzie znajdują te masy pomieszczenie? Wszyscy szukający mieszkań znajdują je na krańcach miasta, które tworzą już dzisiaj przedmieścia Rzymu. Toteż w którąkolwiek stronę i przez którąkolwiek bramę miasta uda się mieszkaniec Rzymu, wszędzie napotyka on na nowe dzielnice mieszkaniowe, w których drapacze chmur o dziesięciu i dwunastu piętrach stanowią regułę.

W centrum miasta nie znajduje się domów tak wysokich. Są to wyłącznie domy mieszkalne, a nie gmachy biurowe. Gdy z Pincio (jedno z siedmiu wzgórz, na których stoi Rzym) spoglądamy na bazylikę św. Piotra, szukalibyśmy daremnie w tej stronie drapaczy chmur. Mieszkańcy Rzymu zdają sobie bowiem sprawę z tego, że są odpowiedzialni za klasyczny obraz swego miasta. Toteż kompleks nowych budynków Ubezpieczalni Społecznej w Rzymie, mieszczący się pomiędzy San Carlo i Tybrem, jest do tego stopnia dostosowany do ogólnego wyglądu miasta, że rdzenny Rzymianin ich nie wyróżni. Linia horyzontalna dawnego miasta została tu ściśle zachowana.

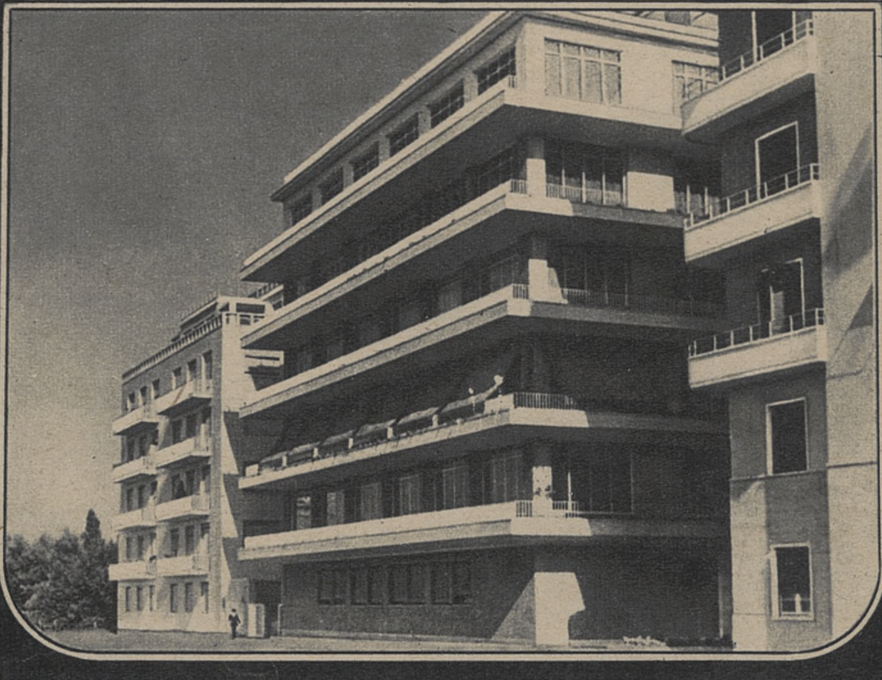
Nie znaczy to jednak by rozwiązanie problemu mieszkaniowego Rzymu, było już zupełnie ukończone. Istnieje jeszcze lepsze rozwiązanie, i o tym wie najlepiej sam Duce. Plany jego w związku z projektowaną po ukończeniu tej wojny wielką wystawą w Rzymie, obejmują również stworzenie wielkich osiedli miejskich, które połączone zostaną ze stolicą koleją podziemną ciągnącą się od bramy St. Paolo aż do morza. Wartość tych projektowanych dzielnic mieszkaniowych należy oceniać według ogromu ich potrzeb.

Plany te w najbliższej przyszłości zostaną zrealizowane.



Dachy nowoczesnych pałaców mieszkaniowych w Rzymie stanowią raj dla Rzymian kochających słońce, powietrze i kwiaty. Im więcej na nich tarasów, tym większa jest liczba ewentualnych lokatorów.

Fot. Atlantic



W Rzymie panuje zwyczaj kupowania mieszkań na własność. Na prawo widzimy właśnie jeden z eleganckich domów, w których się mieszkania nie wynajmuje, lecz kupuje na własność.



Oto olbrzymie gmachy mieszkaniowe na jednej z peryferyj Rzymu. Jakkolwiek czynsz za mieszkanie w tych blokach jest niski, są one wyposażone we wszystkie wygody.

Zaczęło się długie jak wieczność czekanie. Podniecenie biarz, a rzeźbi takim małym dłutem.